

EWA KROJEC

ur. 1950; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Lublin. Opowieść o mieście, Stare Miasto, plac Po Farze, zabawy dziecięce

Zabawy dzieci na lubelskim Starym Mieście w latach 50. i 60.

Ulica Grodzka to był jeden duży plac zabaw. Właściwie ona służyła [jako] boisko, bo dawniej chłopcy grali w palanta. Była taka kostka drewniana z jakimiś oznaczeniami, liczbami, i do tego był kij do odbijania, ale w jednej części płaski. Cała ulica [była] porysowana w jakieś miejsca, do których musieli trafić. I grali przez całą ulicę starsi chłopcy. Młodszy chłopcy grali w zoškę – taką odbijaną na nodze włóczką [z ołowiem] – i w klipę. Dziewczynki bawiły się lalkami. Wypchanego miśka trocinowego miałam jeszcze w wieku prawie trzydziestu lat, on jeszcze bez jednej nogi przeżył. Jak likwidowałam mieszkanie po rodzicach, to jeszcze tego miśka znalazłam.

Najczęściej wszystkie dzieci [ze Starego Miasta] na placu Po Farze się gromadziły. To takie miejsce, gdzie mogły wszystkie być. Tych dzieci było dużo i były różne. Na podwórkach to już później niektóre panie z talerzami latały i karmiły te dzieci. Za mną nikt nie latał z żadnym talerzem, zresztą jadło się w domu.

Miejscem zabaw był plac – mówiło się „Na Farze” – teraz jest Po Farze. Przy tym placu był budynek, w którym mieścił się dom dziecka. Często przychodził do nas chłopiec, [który] był po prostu dokarmiany czy lekcje z nami odrabiał; przez niedługi czas te dzieci przychodziły.

Ja byłam takim dzieckiem, które wszędzie wchodziło. Urodziłam się po dziesięciu latach małżeństwa i byłam raczej rozpieszczona, rozpuszczona. Uważam, że miałam bardzo dobre i szczęśliwe dzieciństwo. Nie pamiętam takich momentów, żeby mnie było źle. Pamiętam kary, ale to dobrze, że pamiętam, bo byłam dzieckiem, które wszędzie wchodziło, wszystko musiało zobaczyć, ruszyć, dotknąć, takim sprytnym, wszędzie się wcisnęłam. Jak chciałam pójść do cyrku, to sobie poszłam i nie interesowało mnie, że ktoś mnie szuka. Raczej nie cierpiałam w domu jakiejś biedy czy niedostatku. Nie zawsze wszystko miałam, co bym chciała, ale nie narzekałam. Poza tym inaczej dzieci się wychowywało. Dzieci, tak jak wszędzie, biją się, kłócą, popychają, niektóre lecą i skarżą – u nas nie wolno było skarżyć. Do tej pory pamiętam, że ojciec [powiedział], że jak przyjdzie któreś i się poskarży, to dostanie.

„Masz sobie tak radzić, żebyś nie przychodził i się nie skarżył”. Właśnie to było też takie zarzewie konfliktów w kamienicy, że [jak] ktoś kogoś uderzył, to zaraz matka leciała i awanturę robiła. Moi rodzice nie chodzili i się nie awanturowali – było powiedziane, że masz się sam obronić i masz się tak zachowywać, żeby ani komuś krzywdy zrobić, ani tobie ktoś. Nigdy nie mogłam przyjść się poskarżyć, że ktoś mi coś zrobił, musiałam się obronić. Pamiętam, że przezywano nas, w całej szkole podstawowej to mi doskwierało. To był czas, kiedy Sowieci w kosmos wysłali Łajkę i Strielkę, i w szkole z nas zrobiono „Łajkę”. Ostatni raz z tym przezwiskiem „Łajka” spotkałam się pięć-sześć lat temu – szłam przez Stare Miasto i słyszę: „Łajka”. „No, nie – myślę sobie – ktoś się odezwał”. Rozejrzałam się i poznałam pana – no, taki... zmęczony był. Stał na rogu, widocznie mnie poznał.

Data i miejsce nagrania	2012-05-17, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"